

strożności dopuszczają się ci, co bez kontroli serca swoje oddają i obdarzają na kredyt zaufaniem tych, co je posiadli. Czy nie tak?

— Niemniej złodzieje są złodziejami.

— Oczywiście! temu faktowi przeczyć nie myślę, jakkolwiek twierdzi przysłowie, że sposobność...

— Aby tego pan nie mów.

— Przeciwnie, pani, powinniśmy to wziąć pod uwagę. Wszakże zgodziliśmy się na to, że śmierć panny Janci jest nieszczęściem. Nieszczęście w wielu razach jest skutkiem przyczyn, które usuwałyby się dały.

— Więc usuń pan miłość.

— Usunąć miłość nie jest rzeczą możebną, ani też pożądaną. To tak, jak gdyby kto chciał obejść się bez ognia dlatego, że płomień spalić może.

— A widzi pan.

— Ale za to z ogniem ostrożnie obchodzić się należy, jak o tem nawet twierdzi najpospolitsze przysłowie. Nikt nie zostawia mu przecież swobodnego działania, ale kieruje nim, rządzi i jego burzliwej sile stawia tem tęższe zapory, im większą jest jego potęgą.

— Utopia.

— Utopią nazywamy to wszystko co jeszcze nie stało się rzeczywistością.

— I pan wierzysz, że to możliwe?

— Czemu nie. Pokolenie za pokoleniem przekazuje potomkom coraz większą siłę refleksji, coraz większe panowanie nad ślepyimi popędami.

— Słucham cierpliwie tych pięknych dowodzeń, ale pomimo tej wzrastającej siły refleksji nie widzę jej błogich skutków. Lada piękna twarzyczka pociąga was za sobą...

— Pani... potrącasz tu o kategorię wrażeń, które odrzuciłaś z oburzeniem, jako niegodne twej myśli.

— Wcale nie. Bo wy także wówczas zostawiacie wasze serca otworem i obdarzacie na kredyt te, co do nich weszły, wszystkimi przymiotami. Są one dobre, zacne, poświęcone, ba! nawet rozumne, dlatego tylko, że mają ładne oczy, delikatny owal twarzy, koralowe usta.

— I czegoż to dowodzi. Mylimy się my także, a pomyłka wiedzie za sobą karę konieczną — cierpienie.

— Dowodzi, że miłość jest ślepą i zawsze taką pozostanie.

Uszliśmy pod górę duży kawał drogi,
Schyliły się czoła, zmęczyły się nogi,
Masz teraz na skroniach jak śnieg białe włosy,
I ja ci powiadam: — Padły nasze losy...
O jednej godzinie położym się w grobie,
Na ramieniu twojem głowę wesprę sobie...

Od ziemi do nieba drabiny potrzeba:
Że tylko ją może dać miłość — wiesz Boże!

Gdybyśmy się byli nigdy nie spotkali!
Gdybyśmy się byli nigdy nie kochali!
Nigdy nie kochali, nigdy nie rozstali,
Dziś byśmy nie byli ręk tak załamali.

Dwojga serc, co kiedyś wzajem się kochały,
Nic już na tej ziemi nie może rozłączyć.
Może się ich miłość, może szczęście skończyć,
Może ich rozdzielić ze sobą świat cały:
Rzuć środkiem nich przepaść jaką chcesz

[ogromną,

Już się te dwa serca nigdy nie zapomną.

10-cio letnia rocznica śmierci Adama Asnyka.

El...y

Dziesięć lat upłynęło od czasu, gdy 2. sierpnia 1897 rozeszła się hiobowa wieść po wszystkich ziemiach naszej Ojczyzny, że przestało bić serce wielkie, szlachetne — serce, które gorąco miłowało kraj przez całe życie. Zamknął na wieki oczy myśliciel głęboki, wielbiciel bezwzględnej prawdy, sprawiedliwości równej dla warstw wszelakich. Zesztywniała i skostniała ręka, która z górą lat trzydzieści dobywała precudne pieśni ze strun poetyckiej liry.

Adam Asnyk, poeta wielki, arcykapłan czystej i nieskazitelnej poezji, nieustrudzony szermierz idei dobrej prawdy i piękna zeszedł ze świata doczesnego w Krakowie przeniosłszy się w świat górny.

Literatura nasza straciła najznakomitszego swojego współczesnego poetę, niezrównanego mistrza pieśni i mowy polskiej — mistrza, który głęboko wnikał do duszy czytelnika; kraj utracił syna dobrego, umysłem dojrzałego — syna, który gorącą miłością pałał dla niego do ostatniego tchnienia; obywatela, który wielce się zasłużył na wielu polach publicznego działania.

Zebrane sądy krytyki o poezji Asnyka streszczają się w tem: że bez wyjątku wszyscy, piszący o jego utworach, przyznają mu niezrównane mistrzostwo formy, szczególnie w liryce.

Adam Asnyk urodził się dnia 24. października 1838 r. w Kaliszu. W chwili, gdy Adam się urodził, ojciec jego, Kazimierz, b. oficer wojsk polskich (pochowany w Krakowie r. 1886) liczył lat 41, matka, Konstancja z Zagórowskich zaś lat 36. W tym też czasie Kazimierz Asnyk był kupcem i właścicielem hotelu w Kaliszu.

Przyszły poeta kończył szkoły elementarne i średnie w mieście rodzinnem. Już w 12 roku życia napisał pierwszy wiersz na imieniny kierownika pensjonatu, w którym przebywał. Oprócz tego najpierwszego opustu pocziwych myśli dziecka, przybranych w szatę rytmu i rymu, zachował się drugi wiersz bardziej samodzielny i znamienity, pisany przezeń w 15. roku życia na brulionie zadań łacińskich.

W 19. roku życia poeta dostał się do świeżo założonej Akademii medycy i chirurgicznej w Warszawie, następnie przeniósł się na wszechnicę do Wrocławia, później do Heidelbergu, gdzie w r. 1866 otrzymał stopień doktora filozofii.

Adam Asnyk obok poezji uprawiał i krytykę literacką, dramaturgię, publicystykę dziennikarską, a nawet politykę, wszędzie zostawiając ślady swej wybitnej działalności. Mimo to przeszedł on do potomności i panteonu naszych chwaleb.



Ś. P. ADAM ASNYK W GODZINĘ PO ZGONIE.

M J.

Z BURNS'A.

Dżonie Andersonie, Dżonie, mój kochanku,
Kiedym cię ujrzała w majowym poranku,
Dumne miałeś czoło, czarne jak kruk włosy,
I rzekłeś ty do mine: — Padły nasze losy...
Wzięłeś mnie za rękę, powiodłeś do gaju,
Siedliśmy przy sobie nad brzegiem ruczaju;
Ja ci położyłam na ramieniu głowę,
A tyś mi całował usta koralowe.

Dżonie Andersonie! Dżonie mój kochanku,
Nie świeci już słońce majowego ranku,